



Cz 434 / 1889

dzieje Polski będą miały znaczenie spełnionego czynu i nie lękają się już zapomnienia. Nie tylko przecież przyszły historyk literatury; również i współczesny bibliopola może coś powiedzieć o wartości tej lub owej książki. Wyras „Wyczerpane” na ustach księgarza brzmi w uszach autorów jak najwdzięczniejsza oda, a taką właśnie ode zaczęło już śpiewać autorowi *Wewnętrznych dziejów* księgarstwo polskie. Kiedy ostatni tom dzieła zjawiał się na półkach księgarskich, pierwszego już daremnie na nich szukano. Dziś już z pięciu tomów dwa są wyczerpane, a pragnący je nabyć ofiarowują antykwaryuszom wysokie ceny. A jakby dla sprawdzenia znanego przysłowia, sam autor obywać się musi bez pierwszego tomu swego dzieła, które tym nawet sposobem dopomina się już drugiego wydania.

Zaznajomienie z działalnością naukową i literacką autora *Wewnętrznych dziejów Polski* jest obowiązkiem względem czytelnika polskiego.

Tadeusz Korzon urodził się w Mińsku gubernialnym, dnia 29 Października 1839 roku. Po ukończeniu miejscowego gimnazjum udał się do Moskwy na studia uniwersyteckie; ukończył je już w dwudziestym roku życia na wydziale prawnym; a dowód nabytej wiedzy złożył w rozprawie obejmującej pogląd porównawczy na procedurę karną francuską i angielską. Tylko z powodu zalet tej pracy mógł ją wydrukować dziennik ministerium sprawiedliwości w r. 1861. Wróciwszy z uniwersytetu, gdzie oprócz nauk prawnych, żywo zajmowały go historyczne, osiadł Korzon w Kownie i w tamtejszem gimnazjum przez dwa lata szkolne (1859—1861) wykładał historią. Na początku roku 1861, kiedy organizowano władze obywatelskie dla zbliżającego się uwłaszczenia włościan, wzięto zdolnego młodzieńca na sekretarza komisji gubernialnej do spraw włościańskich. Znalazł on tam właściwe dla działalności swej pole; niezamknięte obrębem studiów prawnych, lub historycznych: jak później, tak i wówczas umysłowość jego nie dała się nigdy oderwać od życia. Dopuszczony do prac obywatelskich, czynny i wielce użyteczny ich uczestnik, zdobywał się już na inicjatywę, która młodemu jego wiekowi zaszczyt przynosiła. W listopadzie 1861 r. miał już zastępcę na urzędzie sekretarza komisji kowieńskiej, a w końcu roku 1862 udał się do Orenburga. Tymczasem ożenił się, został ojcem rodziny, pozyskał prawo do kłopotów i trosk rodzinnych, ale zarazem i prawo do szczęścia. W żonie znalazł istotę kochającą bez czułościowości, szlachetną w najrzetelniejszym tego słowa znaczeniu, prawdziwą kobietę-przyjaciela — znalazł skarb, tak rzadko w życiu przez mężczyznę znajdowany. W Orenburgu przyszła na świat pierwotna córka szczęśliwego stadła dzisiejsza pani Wanda Prószyńska, żona „Promyka.” Czytanie czasopism i książek — oile ich na tak dalekim Wschodzie dostać było można, zapelniała całą działalność umysłową przyszłego historyka. Korzystając z pewnego uzdolnienia malarskiego, chwile czasów niezbędnych poświęcał Korzon zdejmowaniu zajmujących typów z ludności miejscowej i przyjezdnej, z dalekich stepów. Widok placu w Orenburgu, obraz dużych rozmiarów, pozostał najwybitniejszą pamiątką pędzla z pięcioletniego pobytu w tem mieście.

W r. 1867 wrócił Korzon do kraju, z początku osiadł w Petrokowie, potem przeniósł się do Warszawy. Prace naukowe, przerwane na czas tak długi, dopiero po osiedleniu w Warszawie na nowo rozpoczął, — a rozpoczynając, nie poszedł w nich torem głównych swoich studiów na uniwersytecie: nie prawoznawstwu, ale historii się oddał. Pracownik sumienny, musiał w rozprawach i sprawozdaniach swoich dawać zawsze treść pożywną, a uzdolniony literacko, nie potrzebował umyślnie starać się o wdzięk i przystępność wykładu; stanął odrazu jako jeden z najpoważniejszych i zarazem najpoczytniejszych pisarzy. W r. 1870 w czasopismach tygodniowych i miesięcznikach zaczęły się pojawiać owe prace pierwszej epoki Korzona. Nie były one głęboko naukowymi, ale posiadały całą powagę i rzetel-

ność ścisłych zawsze sprawozdań i silnie w logice ugruntowanych wniosków; czuć w nich było zawsze pióro, nie tylko piszące, ale i myślące. Na przypomnienie tu zasługują: *Historycy pozytywści* (Buckle, Draper, Kolb) w *Bibliotece Warszawskiej* 1870 r., *Ludzie przedhistoryczni* w *Tyg. Ilustrowanym* 1871 r., *Poranek filozofii Greckiej* w *Bibl. War.* 1872 r., *Przegląd prasy peryodycznej* w *Bibl. Warsz.* 1873 r. W przeglądzie dziennikarstwa ocenił wartość nowych prądów, wiejących w tak zwanej „młodej prassie”; Wziąwszy za jej przedstawicieli dwa czasopisma *Niwę* — wówczas jeszcze młodą, i *Opiekuna domowego*, który po różnych przeprawach i przewrotach przedzierzgał się w końcu w *Tygodnik powszechny*, aby ostatecznie utonąć w *ilustrowanym*. Sąd wydany przez Korzona w r. 1873 ujawnił w nim bystrość dostrzegania i samodzielność myślenia — nie tylko literacką.

Była to epoka odczytów publicznych i żywego zajmowania się niemi inteligencji warszawskiej. Zwróciwszy na siebie uwagę literackimi swymi pracami, otrzymał Korzon w r. 1875 zaproszenie do wygłoszenia czegoś i żywym słowem, a to samo powtórzyło się i w trzy lata później. Na tej drodze powstały owa odczyty, umieszczone oba w *Tyg. ilustrowanym*: *O życiu umysłowym Grecji i Historyk wobec swojego narodu i wobec ludzkości*. Ta ostatnia rozprawa zasługuje na przedrukowanie w dziełach pomniejszych Korzona, na które powinienby się znaleźć nakładca, skoro się znajdują chętni drukowania rzeczy o wiele mniej wartych.

Pierwszą większą pracą naszego historyka jest *Kurs historii Wieków Średnich*, wydany w Warszawie w r. 1872. Autor przekopał później grunt tych dziejów nanowo, założył nowe fundamenta i nową zupełnie na nich wznosił budowę, tak, iż ową dawniejszą za próbę jedynie uważać należy. Późniejsza, w której już widzieć potrzeba zsumowanie wiedzy historycznej autora na odpowiednim obszarze dziejów, wywołała żywe krytyki, a prawdziwe już studium krytyczne w *Przeglądzie katolickim*. Pomimo wszelkich krytyk jednak *Historja Wieków średnich, sposobem elementarnym wyłożona* (Warszawa, 1884) po wprowadzeniu do niej zmian i poprawek, których potrzebę sam autor niezawodnie uznaje, — może być użytecznym podręcznikiem przy wykładach. Korzon postanowił całą historią powszechną wyłożyć w takich podręcznikach. W cztery lata po wspomnianym kursie wydał *Historję Starożytną sposobem elementarnym wyłożoną* (Warszawa, 1886), obecnie w drugim już wydaniu (Warszawa, 1876) spełniającą swe przeznaczenie. Zdobią ją rysiny, umysławiające wydarzenia fizycznie widzialne, obczajające i kształtujące cywilizacyi materialnej, oblicza głównych działaczy dziejowych, i t. d. W dalszym ciągu podjętego zadania opracowuje obecnie Korzon obszerny rys dziejów nowożytnych, — na którego zupełne ukończenie potrzebuje jeszcze dwóch lat czasu. Będzie to dziełko gorącej miłości historyograficznej; wiele pracy, przy gromadzeniu i oczyszczaniu zasobów, wiele zmuśnych poszukiwań — samych nawet podobno osób i miejscowości (gdyż dzieło ma być również ilustrowane) — wejdzie w te *Dzieje nowożytne* i nie jeden też nowy znajdzie się w nich pogląd. Ze wszystkich trzech podręczników historii powszechnej, ten trzeci, spodziewany dopiero, będzie najobszerniejszym i nawszkroś już samodzielnym. Jak we wszystkich pracach, Korzona, tak i w jego podręcznikach historycznych panuje ta niepodległość myśli, ta część dla prawdy, którą tak pięknie wysłowił Mickiewicz w odzie *Do Lelwela*.

Ztąd kto się w przenajświętszych licach jej (prawdy) nie zacieka.

Musi sobie zostawić czystą treść człowieka.

Wyłonienie z siebie tej „czystej treści” jest dla historyka metodologicznym trudem — trudem zarazem i obowiązkiem.

(Dokończenie nastąpi).

GŁOS WOŁAJĄCY NA PUSZCZY.

El...y'ego.

Czasami doleci z burzą
Do uszu bezmyślnej tłuszczy,
Do wodzów, co kłamstwu służą,
Głos wołający na puszczy.

Grozą przenika ich serca...
Nie jeden porzuca łożę,
Drży jak schwytyany morderca,
Lecz przestroń pojąć nie może.

Niezrozumiałym jest dźwiękiem
Głos wołający w pustyni:
Śpią dalej na łożu miękkim —
I nikt pokuty nie czyni.

POGA WĘDKA.

A więc przy tym nowym roku...

Wszem wobec i każdemu z osobna życzą spełnienia jego własnych życzeń.

Człowiek przestał być igraszką ślepego fatalizmu, bardzo wiele zależy od niego samego, znaczną część pragnień i pożądań swoich może zadowolić własną zasługą i własnym usiłowaniem, byle miał silną wolę i umiał przeszkody przełamywać, a gdzie konieczność tego wymaga, omijać.

W najtrudniejszych warunkach, w najuciążliwszych okolicznościach można jeszcze choć cząstkę swoich celów osiągać, a przynajmniej przygotowywać sobie do nich środki i drogi na pomyslniejszą chwilę.

Uczymy się tego w szkole życia, uczymy od losów, które człowieka doświadczając, próbują jego wartości, hartu, siły odpornej i wyrabiają w nim instynkt zachowawczy.

Nie trzeba zanadto sarkać na zło, które człowiekowi dokucza, ale starać się o wydobywanie z niego tej częstejki, choćby najmniejszej, dobrego, co się i w najgorszym mieści, bo dobro jest jak ruda żelaza, niema go w naturze czystem całkowicie, trzeba je z mazołem wydobywać, wytapiać, oczyszczać z żużli i dopiero korzystać z niego można. Tak samo z dobrem i szczęściem ludzkim.

Oby ta praca lżej poszła w nowym roku, niż w poprzednich; tego życzymy sobie wzajemnie na wszystkich polach i we wszystkich kierunkach dodatnich.

Stary rok przewrócił się spokojnie, miał lekkie skłony, zachłysnął się o północy toastem na cześć swego następcy i skończył swoje rządy. Jaki będzie ten nowy pan i władca, trudno odgadnąć. Wróżby zawodzą; po dwóch ósemkach zwiniętych, jak węże spodziewano się czegoś jadawitego, a jednak mniej pokąsały, niż początkowo przypuszczano.

W nowej dacie ostatnia cyfra straciła swoją gadzinową formę; wygląda teraz, jak pokorna myszka z ogonkiem spuszczonego na dół i gdyby z tej dziwiewatki wróżyć przyszło, nowy rok zapowiadałby się wcale nie groźnie, ale z tej potulnej fizjonomii na początku niczego jeszcze wnioskować nie można. To jedno zdaje się być pewnem, że zakrawa trochę na hulakę i wesołego towarzysza, bo około dziewięciu tygodni karnawału przynosi z sobą i już przytupywać w takt skocznej muzyki zaczyna.

Stary skończył przykładnie swój żywot i jak filantrop, ostatni legat złożył na szwalnię, urządzone przez Towarzystwo Dobroczynności; nowy

odgraża się, że będzie tańczył do upadłego i rozbijał się po kawalersku.

O tych szwalniach wartoby słów kilka więcej powiedzieć, bo należą one do tych cichych, pokornych, a pożytecznych instytucyj, o których się wiele nie wie, bo nie szukają rozgłosu. Otóż szwalni takich, czyli inaczej mówiąc: szkół białego szycia, cerowania, kroju i krawieczyzny dla ubogich dziewcząt istnieje już pięć w Warszawie—pierwsza powstała przed dziewięćciu czy dziesięć laty. Ogółem, przeszło czterysta córek biednych rzemieślników, oficyalistów wszelakiego rodzaju i wyrobników pobiera w nich naukę i pracuje na kawałek chleba.

Wszystko to utrzymywane jest ofiarnością publiczną i prywatną; dziewczątka od jedenastu lat począwszy dostają obiad w szwalniach i uczą się nie tylko szycia, ale i gotowania, i prania bielizny, i prasowania, mogą zatem po trzechletnim kursie iść w służbę, jako szwaczki, młodsze, bony i kucharki.

Pocziwe są te serca Warszawianek!..

Od czasu do czasu odwołują się głośniejsze opiekunki tych filantropijnych zakładów do ofiarności szerszej i urządzają jakieś widowisko, lub koncert, z którego dochód zasila szczupłe funduszu i pozwala pokryć braki w wydatkach na utrzymanie szwalni.

W zeszłym roku spróbowano wyzyskać pomysł zagraniczny, wcale oryginalny, który swoją nowością dawał pewne widoki powodzenia; oto w salonach Resursy obywatelskiej na miejscu zgasłej „Gwiazdki“ urządzono inny rodzaj Bazaru. Po namiotach sprzedawano artykuły spożywcze, dziczyznę, cukier, kawę, konfitury, wino, konserwy i t. p. przysmaki, ofiarowane przez kupców i protektorów dobroczynnej instytucji. Był to rodzaj targu publicznego, tylko z najbardziej wytwornymi pozorami. Uproszczone damy sprzedawały z wdziękiem swoje towary po cenach niższych, aniżeli na targu lub w handlu i miały odbyć wcale znaczny. Lepszy interes można było wprawdzie zrobić na takim Bazarze spożywczym przed świętami, ale przed świętami Dobroczynność gwiazdkowała w tym samym lokalu na inne cele.

Dla publiczności ta nowość była i zabawną, i korzystną; kto chciał, kupował przynajmniej rzeczy pożyteczne, które mu się w domowym gospodarstwie przydać mogły, dostawał je tanio i w dobrym gatunku, nie potrzebował sypać nadatkami.

Nowy rok również od filantropijnego celu rozpoczyna swą gospodarkę — oto przez trzy dni ostatnie bieżącego tygodnia wystawa przemysłowa w Muzeum oddana zostaje protektorkom, „Macierzyństwu“ do dyspozycji; podobno te panie matki mają urozmaicić program trzydniowy muzyką, śpiewem, deklamacją, aby tylko ściągnąć jak najliczniejszą publiczność i jak najwięcej zasilić dochodem z wystawy fundusze swej pożytecznej instytucji.

Po trzech królach zaczynamy hulać... filantropijnie; zapowiedzianych jest już mnóstwo balów, pomiędzy temi aż trzy panięńskich jeden excentryczny w strojach japońskich a la „Mikado“ jeden maskowy na dochód Osad rolnych, kilka zwyczajnych, na studentów, na szpitalik, na Przytulisko etc. etc.

Będzie na co tańczyć, byle tylko było w czem i za co.

Jestem co prawda o ten warunek spokojny, bo grosz na zabawę u nas zawsze się znajduje; albo to jeden pamiętam karnawał, kiedy tem głośniejsz tupano nogami w białym mazurze, im głośniejsz, bieda pisała.

Ale nie powinienem nowego roku zaczynać od żrzenia, na to przyjdzie czas w wielkim poście, a do niego jeszcze bardzo daleko i może nie będzie miał powodu powtarzać corocznej jeremiady na temat naszej nieogledności, rozrzutności, braku miary we wszystkim i t. p.

Mojem zdaniem najprzyjemniejsze zapusty urządza sobie Sienkiewicz w tym roku; oto pakuje walizkę za dni kilka i wyjeżdża... w Tatry, do Zakopanego, które ma w śnieżystym swoim serdaku wyglądać czarująco podczas zimy. Tam wśród ciszy gorzkiego ustronia zamierza spokoj-

nie pracować nad przyrzeczoną odczytem na dochód czytelni bezpłatnych i opisywać swoje wrażenia z wycieczki do Hiszpanii, odbytej przed kilkoma tygodniami, a nadto zajmie się obrobieniem całego ustępu o obłożeniu Częstochowy z „Potopu“ do osobnego wydania.

Oby mu się tam jaknajlepiej pisało!

Przed wyjazdem jeszcze załatwi sprawę brzęczącego podarku, który mu przysłał jakiś bezimienny wielbiciel jego talentu; jak wspominałem już, autor „Wołodyjowskiego“ nie przyjął dla siebie owych 15.000 rs., a hojny incognitus nie cofnął ich jednak, ale przez osoby trzecie zobowiązane do zachowania dyskrecji przesłał Sienkiewiczowi wiadomość, iż pozostawia mu wszelką swobodę w użytkowaniu tej sumy natychmiast przed wpływem trzechletniego terminu.

Nie wolno mi przed czasem zdradzać tajemnicy, która wkrótce nią być przestanie, ale powiedzieć mogę, iż użytek, jaki pan Henryk z tych pieniędzy uczynić zamierza, będzie dowodem, iż autor „Potopu“ posiada zarówno wielkie i szlachetne serce, jak wielki i niepospolity talent.

Mam nadzieję, iż w przyszłej pogawędce będę już mógł zaspokoić waszą ciekawość co do przeznaczenia owych 15.000 rs., które utworzą nieispożyte dzieło, godne takiego człowieka i pisarza, jak Henryk Sienkiewicz.

W ostatnich czasach zeszło się kilka faktów niezwyklej hojności prywatnej; oto np. musieliście już czytać o wspaniałej darowiznie paryżkiego Nababa, br. Hirscha, który 12 milionów franków ofiarował Galicyi, Łodomeryi i Bukowinie na cele krzewienia oświaty i popierania rzemiosł i rolnictwa w tym kraju.

Br. Hirsch jest żydem, więc fundacyą swoją przeznaczył głównie dla swych współwyznawców, nie wyłączając wszelako ludności chrześcijańskiej od korzystania z dobrodziejstw zapisu.

Z odsetek tego olbrzymiego kapitału mają być zakładane szkoły ludowe, ogródki froeblovskie, utrzymywanie nauczycieli dziatwy semickiej, co roku zakupywane książki i rozdawane pomiędzy uczniów, którzy w razie potrzeby utrzymywani i żywieni będą na koszt fundatora. Po ukończeniu nauk teoretycznych, wychowawcy znajdą pomieszczenie u majstrów dobrych lub na praktyce w gospodarstwie, aby się dalej w praktycznych zawodach kształcili na własny pożytek i na pożytek społeczeństwa.

Dla ciemnej masy żydów galicyjskich, fundacya br. Hirscha jest zbawieniem, wykupieniem z niewoli obskurantyzmu i zacofania. Jako przykład tak wielkiej ofiarności prywatnej jest chyba unikatem w swoim rodzaju.

Słaba strona tej fundacji tkwi jedynie w ustanowieniu zarządu, któremu zapisodawca wskazał za główne siedzisko Wiedeń; ośmiastu członków, popołowie chrześcijan i żydów, zawiadywać będzie funduszem i jego przeznaczeniem—nad Dunajem, z kądem wiele rzeczy nad Wisłą i Pełtwią widzianych jest krzywo. Centralizm wiedeński nie omieszcza z tej opieki skorzystać tak, jak mu będzie na rękę w danej chwili i względnie do celów jego polityki najpomysłniej.

U nas niema magnatów, mogących rozporządzać, jak br. Hirsch milionami na cele publiczne, ale nie brak też hojnych ofiarodawców, którzy (według stawu grobla), stosunkowo znaczne datki składają *pro publico bono*.

Oto nowy przykład: w Kantorze Banku państwa złożono przed niedawnym czasem sumę rs. 15.000 jako kapitał zakładowy na wydanie obszernego i wyczerpującego słownika polskiego z wynikami najnowszych badań naukowych. Gro no specjalistów, których na szczęście mamy dosyć w poważnem znaczeniu tego wyrazu, ma być powołanem do opracowania pomnikowego dzieła na podstawie zebranych dotąd materiałów, pomiędzy którymi Słownik Lindego pierwsze zajmuje miejsce.

Jakkolwiek niebardzo pomyślne czasy mamy dla literatury, jednakowoż zdobywamy się na dzieła trwałe i murowane, które przeżyją wiele głośniejszej sławy pisarskiej z dziś na jutro i dobrze świadczyć będą o nas w przyszłości; taki „Słownik geograficzny“ i taka „Encyklopedia Rolnicza“ taki projektowany obecnie „Słownik języka pol-

skiego“ to już nabytek fundamentalny a tem zaszczytniejszy, gdy się zważy, że tylko prywatną inicjatywą i ofiarnością pozostaje w kraju stosunkowo niezamownym i nienawykłym bardzo dla hojności dla literatury.

W porę poruszono też sprawę ujedostajnienia naszej pisowni; pracą tą miała się zająć Akademia Umiejętności, ale mijają lata za latami, a sami „nieśmiertelni“ piszą, jak się im podoba i do jednoci ortograficznej doprowadzić nie mogą. Wspomniałem już swego czasu o projekcie *Kraju* w celu zwołania kongresu filologów; obecnie redaktorowie „Prac filologicznych“ pp. A. Kryński i J. Karłowicz przyrzekają zająć się sami bez urządzania zjazdu, opracowaniem treściwych zasad pisowni polskiej na podstawie ostatnich wyników nauki i badań; następnie referat swój poddadzą opinii miejscowych lingwistów i w ostatecznej formie przesłać go do zatwierdzenia Akademii.

Najwyższy czas potemu; może przecież ten chaos, panujący w naszej ortografii, ustąpi miejsca jakiemuś stałemu prawu i dowiemy się, jak pisać należy poprawnie: *Kurrier*, *Kurjer*, czy *Kur-ryer*.

Z interpunkcją także ciężka bieda; jedni zasiewają przecinkami, średnikami i kropkami każde zdanie, jak makiem—drudzy, na wzór roztargnionej płci pięknej, opuszczają zupełnie wszystkie znaki pisarskie i liczą na pobłażliwość czytelników, gramatyki i języka, wykreślanego według rozmaitych osobistych widzimisię.

Nasze dzieci gorzej jeszcze piszą od nas, a nasze wnuki—jeśli tak dalej pójdzie, gotowe w tym chaosie zagubić zupełnie umiejętność pisaną według jakichkolwiek prawideł.

Co to się dziwić dzieciom, kiedy wielu tak zwanych literatów sadzi byki, którychby dawniej niejeden infimista się powstydzil. Dzienniki nasze roją się błędami i wadliwą korektą, książki po większej części grzeszą takiemsamem niedbalstwem, a czytelnicy przejmują z druku błędy pisowni i rozmnażają je później swoim piórem.

Gdyby przynajmniej wyczytywano się u nas pilnie w wzorowych pisarzy i mistrzów języka, ale niestety mało kto zagląda do starych, dobrych książek, smakując jedynie w nowościach, przeczucząc je szybko, gorączkowo, nieuważnie.

Znajomość literatury ogranicza się do ogólnikowych pojęć, do nazwisk głośniejszych autorów starszej daty, do tytułów dzieł, których się nako nie widziało; chwila bieżąca pochłania całą uwagę; na studyowanie zabytków nawet najcenniejszych przeszłości, czasu nie starczy i ochoty braknie. To źle, to niesłusznie, tak być nie powinno, zwłaszcza kiedy tak wielu idzie za głosem dzisiejszej krańcowej krytyki, potępiającej zbyt lekkomyślnie wszelką „starzyznę“ bez zadania sobie trudu poznania tego, o czem się mówi z uprzedzeniem.

Z podziwem i z żalem słucham nieraz ludzi posiwiałych i zgarbionych wiekiem, którzy zapamiętane z młodości całe ustępy poezji recytują i przejmują się niemi; a dzisiaj komu przychodzi na myśl uczyć się wierszy na pamięć!... proza życia i proza twórczości współczesnej obniżyła smak do poezji i znawstwo jej.

Coraz rzadziej zdarza się spotkać kogoś, który rozumie się na wierszach, odczuwa piękno w nich zawarte, ma prawo sądzić je z formy i treści, potrafi rozpalić się natchnieniem poetów, rozkoszować się śpiewnością wiązanych słów...

Trzeźwość dzisiejsza nie pozwala na takie głupstwa.

Wśród powodzi rozmaitych konkursów, jeden projektowany pod koniec zeszłego roku zajął mnie swoją oryginalnością; oto ktoś miał oznaczyć nagrodę dla tego, który najwięcej potrafi wyrecytować z pamięci wyjątków z naszych poetów. Nie wiem, dlaczego dobra myśl utknęła gdzieś po drodze do urzeczywistnienia; wartoby ją było przy nowym roku wznowić i taki konkurs do skutku doprowadzić; byłby to może sposób zachęty do wertowania utworów poetyckich, kształcących i dobry smak, i uczucia.

Z dzienników dowiedziałem się o zamiarze otwarcia w Warszawie czytelni i wypożyczalni książek dla dzieci; taka specjalna biblioteka mo-

głaby przynieść pożytek i mieć duże powodzenie. Nie każdy ojciec może się zdobyć na kupowanie książek dla swego drobiazgu, ale miesięczny wydatek kilku złotych na ich wypożyczanie, nawet niezamożnym rodzicom nie sprawiłby wielkiej różnicy; dzieci chętnie zajmują się lekturą i lgną do druku, młode umysły potrzebują zajęcia, ułatwienie przeto sposobności czytania dzieciom dobrych książek, któreby ich główki oświecały, rozszerzały pojęcia i przyjemnej rozrywki dostarczały, uważam za pomysł bardzo praktyczny i korzystny.

Zamiłowanie do czytelnictwa najłatwiej daje się zaszczyć w młodym wieku i w interesie literatury i ogólnej oświaty należy starać się o to. Może przyszłe pokolenie wtedy z własnego popędu gorliwiej zajmie się książką i dziennikiem, a przyszli wydawcy nie będą zmuszeni wabić sobie prenumeratorów rozmaitemi sztuczkami i nie będą potrzebowali „fotografować ich“ za darmo, by ich zachęcić do przedpłaty, jak to zamierzają czynić redaktorzy wskrzeszonego poraż trzeci „Tygodnika powszechnego.“ Tak, to nie żarty, każdy prenumerator tego pisma, które nową erę swego wydawnictwa rozpoczyna z nowym rokiem, będzie miał prawo do półtuzina własnych fotografii *gratis*, ofiarowanych mu jako premią od wydawców.

Dotychczas zdawało mi się, że pod tym względem tylko *Echo teatralne i muzyczne* z taką hojnością obdarzało swoich prenumeratorów, zaspokajając ich nutami, całymi kompletami dzieł Szopena, Schumana, partyturami rozmaitych oper, oprócz stałych dwutygodniowych dodatków; obecnie *Tygodnik powszechny*, mający w treści odpowiadać przedewszystkiem swojemu tytułowi, robi konkurencję *Echu*, zapowiadając w prospekcie takie mnóstwo gratysowych upominków.

Na zakończenie w tym roku pierwszą Pogawędkę już znowu krzyżykiem odznaczyć muszę.

W pierwsze święto Bożego Narodzenia zmarł sędziwy przyjaciel dzieci, pedagog zasłużony, autor mnóstwa uczciwej myśli książek i książeczek dla młodego pokolenia, towarzysz pracy na tem polu niezapomnianych zasług Jachowicza, śp. Teofil Nowosielski. On to przed laty pięćdziesięciu był z inicjatywy Teofila Janikowskiego organizatorem i kierownikiem pierwszej w Warszawie wzorowej ochrony dla ubogich dzieci pod firmą Towarzystwa Dobroczynności.

W roku 1838 odbywał umyślnie podróż do Czech i do Niemiec w celu zapoznania się z tego rodzaju filantropijno-wychowawczymi zakładami zagranicą i po powrocie na wzór prąskiej ochrony, według metody Czecha Svobody, założył podobną u nas.

Należał do najstarszych i najużyteczniejszych przyjaciół naszych dzieci, dla których serca i główki pracował prawie do ostatniego tchnienia.

Quis

SERCE I GŁOWA.

Zadaniem wychowania jest kształcić ludzi do dobra i szczęścia. Szczęścia pragną dla dziecka swego wszyscy rodzice, a na zaszczyt natury ludzkiej dodać należy, że każda jednostka, choć cokolwiek myśląca, chce, aby to szczęście opartem było na gruncie dobra. I nie jest to rzadkością, że ci nawet, co sami dobrze czynić przestali, ci, co odwrócili się od cnoty, pożądają jej jednak dla dzieci swoich i chcą kierować ich kroki w stronę prawdy i uczciwości. Jest to dowodem idealności natury człowieka i umieszczonej nam w piersiach iskry takiego ducha, który pragnie czegoś więcej jeszcze nad używanie—teżni jeszcze poza tem do czegoś, a stara nasza cywilizacja i dziewiętnaście wieków chrześcijaństwa, przyczyniają się wniemałej części do wyrobienia tego stanu pojęć

i uczuć, który stał się w jednostkach i tłumach ludzkich instynktem moralnym.

Przewodniczy on w wychowaniu, stanowi jego ideę i dziecko, prócz rzadkich wyjątków, chowa się z myślą o szczęściu i dobru, a wychowanie jest wtedy najlepszem — jest wtedy jedynie dobrem, gdy te dwa pojęcia stopią się tak w sobie, że razem jedno tworzą. Skoro człowiek nie jest zdolnym wyobrazić sobie szczęścia bez dobra, jest już bardzo bliskim tego, aby dobro szczęściem mianował i czynił sobie z niego cel istnienia, co znaczy, że osiągnął najszlachetniejszą mądrość życia, najwyższą jego filozofią.

A nie jest ona zawodniejszą od innych, nawet przeciwnie jest to najbezpieczniejsze zawarowanie szczęścia, gdy je mieścimy w tem, co od nas przedewszystkiem zależy, a dobru zawsze hołd składać, dobro przewodnią gwiazdą życia swego czynić może przecież każdy, od mocarza do chłopka, bo każdy według skali swego istnienia na ziemi, jest zdolnym je pełnić. Dobre chęci i dobre czyny mają różnice tylko w rozmiarach wpływu swego, swego oddziaływania na innych, ale nie w moralnej wartości—nie w moralnej swojej zasłudze. Kto jedną kromkę chleba, od ust sobie odjętą, podzieli się z nędzarzem głodnym, otrzymuje całe błogosławieństwo ewangeliczne, które jest przywiązaniem do dobroczynnej miłości bliźniego.

Aby wychowanie mogło tego dokonać: ideał dobra wysoko przed nami postawić i drogę do niego wskazać, musi ono być wykształceniem dwóch stron istoty ludzkiej: uczucia, które dobrego pożąda, wykonywać je pragnie i jest w piersi człowieka miłością—zapalem, który go zagrzewa, oraz rozumu podnoszącego nad omyłki, nad błędy czynów, w uniesieniu uczucia nierozważnie wykonywanych. Stary mędrzec angielski, Bacon, nazwał człowieka rządzącego się jedynie porywami uczucia, okrętem bez busoli, statkiem bez steru, ale tam, gdzie brakuje tego uczucia, istota ludzka jest statkiem bez motoru: bez żagli, czy pary—bez tego ruchu, który jest życiem życia.

Utrzymanie między temi władzami harmonii należytej, stanowi o równowadze, godności i szczęściu człowieka, który nie samym chlebem żyje, jakkolwiek chleb jest mu koniecznym potrzebny do utrzymania życia. Uczucie i rozum równomiernie wyrabiać, czyli głowę i serce tak szlachetnie kształcić, aby w życiu nie było między niemi targu i rozdzwisku—to znaczy młodość dobrze wychowywać i na pomoc tej wielkiej społecznej potrzebie napisaniem też zostało w tych czasach jakoby dzieło, jedną całość stanowiące, jakkolwiek przez dwóch pisarzy kreślone i wyszłe w dwóch książkach oddzielnych: „*Serce*” (Cuore) przez Edmunda di Amicisa, „*Głowa*” (Testa) przez Paulo Mantegazzo. *Serce* zostało przyjęte z wyjątkowym powodzeniem przez publiczność, można powiedzieć europejską, bo, jak głosi wydawnicza spółka medyolańska, braci Treves, książka w przeciągu niespełna lat dwóch, była tłómaczoną na trzydzieści języków, mając 68 wydań włoskich. *Głowa* ukazała się wkrótce potem, bo jeszcze w tym samym 1887 roku, a jej autor: podróżnik, historyk—człowiek wiedzy rozległej, popularyzujący naukę przez dzieła wielkiej we Włoszech poczytności, nie pragnął, jak się tego w przedmowie zarzeka, przeciwstawić tezie Amicisa tezę swoją, a tylko dopełnić jej w sposób, jakiego się życie, wedle pojęć jego od wychowania domaga.

Autor *Głowy*, czytając *Serce*, płakał wzruszony i z tych łez powstała książka, o której też pisze, że „nie jest to ogień inny, któryby chciał obok tamtego zapalić”... Mieszcząc na okładce zdanie: „*Siać myśli, aby wschodziły czyny*”, chce wykażać, jak myśl—rozum, przychodzi w praktyce życia w pomoc temu życiu i uczuciom, bijącym w piersi ludzkiej. Dopiero w tem połączeniu działalność człowieka może być szlachetnie pożyteczną i w szczęśliwe skutki płodną—dla niego, dla społeczeństwa, którego jest członkiem, dla ludzkości!...

Książka Amicisa nie jest przecież książką, z której rozum byłby usuniętym, tylko, że ten rozum obiera sobie za główne narzędzie działania uczucie, do którego przemawia, przez które działa, wzruszając serca. Przesąd, egoizm, złe skłon-

ności i wady, w otoczeniu społecznym nabyte, ustępują najłatwiej, skoro serce odezwie się do serca językiem miłości bratniej. Uczucie jest wspólnym dziedzictwem rodu ludzkiego: każda istota zowiąca się człowiekiem, ma je w piersi swojej: w większym, mniejszym stopniu i jeżeli przemówimy do niego, jeżeli zdołamy tak zawołać, aby usłyszało nas, odpowie niezawodnie, a wtedy znikają między ludźmi wszystkie różnice: wykształcenia, stanowiska,—przegrody, przedziały sztuczne.

Jest to volapuk—język powszechny i nie piękniejszego, nie tkliwszego, czystszy idealizmem przejętego nie wyszło nigdy spod pióra żadnego poety. Autor wierzy głęboko, że człowiek jest dobrym, że serce ludzkie jest ogniskiem uczuć szlachetnych, które, wzbudzone w niem, dają oddźwięk czysty i piękny. Woła on jak nasz Brodziński: — *Miej serce i patrzaj w serce!*... Chce uczynić z tej siły serdecznej moc, któraby rozwijała w ludziach skłonności dobre i dając im ujęcie, oddziaływała na innych wywoływała im z piersi przez okazane uczucie życzliwe, instynkta szlachetne, mieszczące się tam, lecz często przez życie i jego naleciałości: warunki istnienia trudne i surowe, gdzieś w głębi wepchnięte. Podzielim to przekonanie zacnego Włocha najzupełniej, najsilniej. Ze przyzwyczajenia stają się, zwłaszcza w wychowaniu, drugą naturą naszą, więc kształcić i rozwijać człowieka za pomocą uczuć dobrych, jest to czynić go dobrym na całe życie i ta metoda wychowawcza, najpiękniejszym humanitaryzmem przejęta, jest najdosłowniej, godność ludzką najwyżej stawiającą metodą edukacyjną, która rozsądnie, rozważnie, mądrze prowadzona, nigdy nie zawodzi.

Przecież łącząca się koniecznie z takim sposobem wychowywania łagodność, dobroć, tliwość w postępowaniu z dzieckiem, nie znaczy bynajmniej pieśczęć, które rozmiękcza—pobłażliwości, która na zło przystaje i miejsce mu w młodej, nieustalonej jeszcze naturze czyni. Nie! w książce Amicisa bynajmniej tego niema, bo nikt tam tak nie postępuje: ani rodzice, ani nauczyciele i tylko wady w dzieciach dostrzegane, są poprawiane z dobrocią, z miłością, przez dobre przymioty dziecka, za pośrednictwem uczuć jego szlachetnych, do których odwołują się rodzice, nauczyciele, a nawet koledzy, pod działaniem takich wpływów wychowawczych, skłaniający się już umysłem i sercem do takiego sposobu postępowania w towarzyskim i rodzinnym pożyciu. Nikt tu nikogo nie krzywdzi, nikt nikomu bólu nie zadaje, więc też od nikogo nie doznaje krzywdy, nie ponosi bólu i uczucie ludzkości szlachetnie i do całego zakresu spraw życiowych rozszerzone, jest tu działaczem, nigdy nie zawodzącym. Wiara w dobroć, w szlachetność człowieka, wprowadzona w wychowanie, każe nauczycielom i wychowanej młodzie, zwracać się w wypadku każdym do motoru uczuć dobrych, tkwiących zawsze w każdej piersi ludzkiej, choćby gdzieś głęboko, gdzieś na dnie samem, a których trzeba tylko odszukać i wydobyć, aby odżyły i działały, opanowując, zwyciężając zło. Wszystkie zdarzenia książki, wszystkie jej zagadnienia pedagogiczne w ten sposób są rozwiązywane i jest to jak owa wiara ewangeliczna, która góry przenosi, a gdy się raz ten punkt widzenia autora przyjmie, czytelnik coraz więcej przekonany zostaje, że rzecz nie jest mrzonką—snem pięknym — że wychowanie może posługiwać się tą metodą bez trwogi. Potrzeba tylko na to, aby była w niej ciągłość i konsekwentne, a nie kapryśne, dorywcze, jej stosowanie, a co więcej, aby pożyć rodziców, stosunek ich do przyjaciół, służących i całego otoczenia swego: cały układ życia i domu wytwarzał wkoło istoty młodej atmosferę odpowiednią.

Autor nie zapomina przecież, że pisze dla ludzi, a nie dla aniołów: tak rodzice, jak dzieci dopuszczają się tu błędów, podpadają omyłkom i zбочeniom różnym, ale, że serca kochają i że jest w nich ożywcze źródło uczucia, wszystko się tym sposobem poprawia i ratuje, znajdując w miłosnej sile serca moc potemu. Jest to jak gdyby Jakubowa drabina cudowna, po której dniei wszyscy idą i pomimo zesłabnięć, zachwiał się chwilo-

wych, coraz to na wyższe stopnie doskonałości i cnoty wstępują.

— „Kształćcie serca młodzieży!” — woła Amicis, przez całą książkę swoją — kształćcie serca przede wszystkim i nadewszystko, a za tem pójdzie wszystko inne. Z cnót uczucia wytworzy wam się w piersi siła dla dźwignięcia szlachetnych spraw życia; ideały uczucia staną wam przed oczyma, jako skazodrogi, które każą postępować szlakiem górnym, nie schodząc nigdy na te niziny, gdzie mieszka nędza duchowa — gdzie gnieździ się samolubstwo, pycha — zadowolenie, oparte na użyciu materyalnem, na próżności lichiej....

Jako pomoc dla tych dążeń pocziwych, jako wzór cnót i uczuć wzniosłych, wprowadzonych już w czyn żywego życia, dodał autor dziesięć powiastek, które są jakoby wypracowaniami szkolnemi na temat przez nauczyciela zadany, a które napisał chłopiec, będący bohaterem książki. Jest ona niby jego pamiętnikiem — dziennikiem, gdzie zapisywane są codziennie zdarzenia młodego życia, w szkole i poza szkołą spotykane. A jak to jest piękne! jak szlachetne, jak razem proste i dla młodych umysłów zrozumiałe, choć są tu wmieszczone umiejętnie wszystkie najwyższe zagadnienia życia — wypowiedzieć trudno. Takie to wszystkie pocziwe, taką słodką uczuć dobrych przeniknięte i pełne poezji — prostej, spokojnej poezji codziennego życia, jak mimo to wzniosłej i szlachetnej, humanitarnie mądrej! Wspomniane powiastki, które dzienniczek przeplatają, są to perły najczystszej wody: dziecinnych to losów opowieści, przecież niema człowieka, choćby już z siwymi włosami, któryby z najwyższą przyjemnością nie czytał tych obrazków pełnych wdzięku i uczucia w najpiękniejszych jego objawach.

Ze Mantegazza mógł przy nich zapłakać, przypuścić łatwo: łzy, które polaly mu się wtedy z oczu, były holdem, mimowolnie złożonym na ołtarzu szlachetnych uczuć, które tu w grę wchodzi, a które odczuł sercem Włocha. Ale niemniej realista, nie chciał przystać na taki system wychowania młodzieży i napisał książkę drugą, pod tytułem: *Głowa*. Nie chciał, jak pisze w przedmowie, aby to była przeciwstawieniem się *Sercu*, ale tylko dopełnieniem przez umysł tego, co tworzy uczucie i dodaniem mu podpory i gruntu, na którymby się dzieła jego oparły mocno i trwały stale. Zestawienie tych dwóch systematów, ciekawem jest i dla wiedzy wychowawczej wielce ważnem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

SŁOWA A CZYNY.

POWIEŚĆ

SEWERA.

I.

Okazały murowany dwór, pomalowany na żółto, pokryty czerwoną blachą, dobrze odbijał od zielonych klombów drzew i niebieskiej przezroczystej wody, przecinającej angielski ogród.

We dworze tym, nazwanym pałacem, w narożnym pokoju przybrany zmysliwka, siedział w fotelu w skórę obitym sześćdziesięcioletni mężczyzna, wysoki, barczysty, chociaż chudy na twarzy. Angielskie faworyty i siwiejące włosy, rozdzielone na środku głowy, nadawały wyrazowi twarzy pewną połowiczność, mieszaninę szlacheckiej rubasznosci z angielską sztywnością. Siwe jego oczy patrzyły przenikliwie, usta grube i wywinięte, nos prosty, z rozwartymi nozdrzami, składały się na całość męża zmęczonego pracą i ruchliwością życia. Po pokoju chodził dwudziestosiedmioletni młodzieniec, ubrany pomyśliwsku. Niższy wzrostem od ojca, zgrabniejszy i szczuplejszy, patrzył na świat przez nieco zamglone niebieskie oczy, uśmiechał się, również, jak ojciec, grubymi ustami; ruchy miał powolne i leniwe.

— I znowu na polowanie?

— Z nudów, kochany ojcie.

— Szczególne usposobienie! Ja się dotąd jeszcze nigdy nie nudziłem.

— Wierzę — odparł młody człowiek. — Obarczony pracą, interesami, zmęczony walką o supremacyą swego stronnictwa...

Ojciec podniósł rękę, aby głos zabrać.

— Nie chcę ojcu odbierać, ani zaszczytów, ani rządów — mówił dalej szybko młodzieniec. — Nigdy nie miałem tej myśli, zaznaczam tylko fakt. Ojciec świetnie prowadzi interesy, oszczędzasz, składasz, a wszystko dla tego nieponia, którego zowiesz swym synem. Jest to prawda niedająca się zaprzeczyć, że nie dorosłem do dzielności i pracowitości swego ojca i nie dorównam mu nigdy w energii i praktyczności. Nie dorównam mu i w walce.

— Bo nie chcesz walczyć — przerwał ojciec.

— Nie umiem — odparł młodzieniec, strojąc komiczno-rozpaczliwą minę.

— Wiesz, Adasiu, co ja dostrzegam w tobie?

— Wiele bardzo ułomności, a może nieco i zbrodniczych popędów.

— Nie żartuj. Ale ty nie masz ideałów życia, za mało masz pragnień, namiętności. Nie obudziła się jeszcze w tobie ambicja...

— Nie, drogi ojcie, dotąd jeszcze nie — odparł młodzieniec spokojnie.

— I czy się kiedy zbudzi? Wątpliwości zaczynają mnie dręczyć.

— I mnie również, niestety — szepnął syn.

Ojciec powstał.

— Sprawa jest nadto poważna, aby dopuszczała żarty — rzekł, ściągając siwiejące, nastroszone brwi.

— Sprawa nadto poważna? — powtórzył pytając młodzieniec.

— Słuchaj — przerwał mu ojciec szorstko — mam ci do zarzucenia to, że nie spełniasz swych obowiązków.

Młody człowiek wyprostował się.

— Słucham — rzekł sucho.

— Nie rozwijasz mego programu. Ja wszystko poświęciłem, gromadząc przez całe życie środki, aby podnieść nasz ród.

— Ależ, w stosunku do niedalekiej przeszłości, majątek nasz ciężką pracą ojca wzrósł już pod niebiosa.

— Cicho — szepnął ojciec, rumieniąc się.

— Chciałem powiedzieć, że wolno nam odpocząć.

— Właśnie, że nie wolno! Byłoby wolno, gdyby dział mój był kasztelanem. Ty zaś nic nie robisz.

— Jeżeli ojciec wszystko trzymasz w rękach...

— A to dlatego jedynie, aby ci ułatwić zadanie, dać czas, możność i środki. Ja nie żałuję.

— Nie przeczę i wdzięczny jestem....

— Dziękuję ci za wdzięczność; jest zupełnie nieużyteczną. Nie korzystasz....

— Być może, że nie umiem. Lecz co mam robić?

— Wszystko, tylko nie to, co robisz dotąd.

Młodzieniec milczał, oparty o framugę drzwi; ojciec chodził po pokoju.

— Wszystko: przyjaźni, stosunki, czas i zdolności poświęcasz dla przyjemności, a nie dla racji stanu.

— Jakiej, drogi ojciec?

— Jakiej? — powtórzył ojciec zirytowany. — Pytasz się, jak człowiek spadły z księżycy. Jakiej? racji stanu naszego stronnictwa, rodziny, imienia, stanowiska, państwa. Wiesz, czym my stoimy? Siłą i potęgą państwa. Mniejsza, jakie ono jest i do kogo należy, byle zapewniało porządek, poszanowanie własności, a nam nasze przywileje, naszą supremacyą, nasze wpływy w rządach, nasze stanowiska z przeszłości. I jeżeli nasz rząd dziś opiera się na nas, to stawiać mu trudności, stawiać przeszkody, jest nie tylko głupotą, ale i niegodziwością, gdy tymczasem twój przyjaciele, walcząc z nami, walczą z rządem.

— Nic mu nie robią; lecz wszechwładza państwa....

— Wszystkiem jest — przerwał gwałtownie ojciec — wszystkiem, powtarzam ci. Ona jedna potrafi utrzymać w karbach rozszalałe żywioły, owe męty społeczne, wiecznie się burzące, wiecznie niezadowolone, wiecznie chciwe i łakome. Gdy-

by nie było dziś silnych państw, czem byłaby Europa?... Francja trwałaby przed Niemcami zawdzięcza swój byt i pokój. Siła państwa jest porządkiem, spokojem, cywilizacją, a w dzisiejszych warunkach potęgą naszego państwa jest nasza ochrona. I ci, którzy tę potęgę w czemkolwiek uszczuplają, są naszymi nieprzyjaciółmi. Jedni ambitni warcholy, jak twój marszałek, drudzy niezadowoleni ze swej społecznej pozycji, awanturnicy, jak twój przyjaciel — sekretarz.

— Mój ojcie, sądzę, że ani marszałek nie ma siły i ochoty do uszczuplania potęgi państwa, ani sekretarz nie korzysta z jego błędów.

— To źle sądzisz. Ten twój szlachcie wyrabia opozycyą w kraju, burzy, jątrzy, stawia przeszkody ministrom, a ci są podwójnie nasi: raz, są naszymi rodakami, a drugi raz, na nas się opierają. Mamy teraz wszystko, czego nam potrzeba: udział w rządach, przywileje, prerogatywy. Nasz głos jest głosem kraju, my jesteśmy przez władzę forytowani, w naszych rękach instytucje krajowe, intratne posady, nas wyróżniają, odznaczają i protegują. I czegoż ta głupia opozycya więcej jeszcze pragnie?

— Chce niezawodnie coś i dla siebie uzyskać.

— Gdyby dla siebie! Ale oni pragną, aby każdy chłop był filozofem, a każdy rzemieślnik doktorem praw. Wyobraźmy sobie uczonych, idących do żniwa za dwadzieścia pięć centów dziennie, a doktorów praw, szyjących buty po pięć guldenów para. Widzisz, jak to jeden krok naprzód pociąga za sobą drugi, trzeci, dziesiąty, póki się nie stoczymy w przepaść socjalizmu. Dla tego też w obozie naszym rządzi wielka zasada, niewzruszona i niezachwiana niczem, żadnem rozumowaniem, niezwalczona żadną doktryną: zużywać zdobycze cywilizacji dla wszechwładzy państwa i siebie, bronić tego, co jest, i nie ruszać się z miejsca.

— Jeżeli tak, to wybornie spełniam swe obowiązki: nie ruszam się.

— Wobec postawionych kwestyi, powtarzam nie ma miejsca na żarty — odparł wyniosło ojciec.

— Mnie się zdaje — rzekł spokojnie młodzieniec, że zanadto wielkie nadajemy znaczenie, naszemu sprawom.

— Z powiatów składa się kraj, z krajów monarchia. W powiecie naszym my jesteśmy obecnie w mniejszości, stanowiska wpływowe nie w naszych rękach. Gdyby tak było wszędzie?

— Mieliby nasi więcej czasu dla siebie.

— A nie-nasi znowu-by przygotowali awanturę, zakończoną nieszczęściem, dla nas i dla kraju.

— W ostatniej awanturze, oile słyszałem, i ojciec uczestniczyłeś.

— Tak! — zawołał z widocznym rozdrażnieniem ale tylko dlatego, że nam ten ukoronowany uzurpator obiecywał krucyatę. A potem: zostawić otwarte pole Czerwonym? gdzieby nas zaprowadzili? Należało ująć ruch w swe ręce i kierować nim podług swojej woli. Jest różnica w udziale i działaniu takasama, jaka dziś jest między mną a twym sekretarzem. Awanturnicy bez jutra zwalili nam brzemiona nieszczęść na głowy, a my, ratując się, musieliśmy je dźwigać i do czasu milczeć. Należałem — powtórzył ciśzej — i dlatego tem więcej ich nienawidzę. Dziś nam dobrze i lepszymi jesteśmy Austryakami, niż Polakami, chociaż i polszczyzny się nie wyrzekamy. Kto wie co może być jutro? Głupcy tylko za sobą mosty palą. A nareszcie szlachectwo polskie jest wysoko cenione. I wolę być szlachcicem polskim, niż baronem niemieckim. — Zbliżył się do syna, oparł mu ręce na ramiona i przyciszonym ze wzruszenia głosem mówił dalej:

— Umieć korzystać z uśmiechu fortuny — wielka sztuka życia, tem większa, gdy tak rzadko los się do nas uśmiecha. Kochany Adasiu, ja zrobiłem wszystko, co było w mej mocy. Oczyszcziłem z długów, zagospodarowałem i w dwójnasób powiększyłem nasz majątek. Wyrobiłem stosunki w świecie; wszystkie znakomitsze domy w kraju, są dziś dla ciebie otwarte. A teraz do ciebie należy zrobić znowu krok naprzód i dalej i dalej — wyżej i wyżej! — Upojony własnymi marzeniami, zdjął ręce z ramion syna i zaczął chodzić. Adam wydawał się wzruszonym serdecznością ojca.

— A więc — rzekł cicho — rozkazuj.

Pochlebiali ojcę posłuszeństwo jedynaka, był pewny, że go nieco roznamiętni i rozpalił. Podniósł głowę, pomyślał chwilę i zaczął:

— Niczem się nie dochodzi tak szybko do wpływów i znaczenia, jak robiąc karierę państwowo-dworską. Blask korony jest wielki, wpływy na dworze wywierają silny urok, a władza, mój drogi, jest wszystkim. Nazwisko twoje, dziś zaledwo szlacheckie, jutro przy władzy i pozycji stanie się historycznym.... Zwrócił się do syna i stanowczo już wzruszony mówił dalej:

— Gospodarzem nie jesteś i nie będziesz. Godności powiatowe nie są dla ciebie i dobrze, że nie chcesz się po nie schylać. Nie jesteś również wielkim mówcą, aby z ław izby skoczyć do łóż ministerów. Dlatego widzę jedną tylko dla ciebie drogę rozpocząć służbę w namiestnictwie. Z początku będzie to trochę nudne, lecz za to później... To ci przynajmniej zaręczam, że nie pozwolę wypędzić cię na prowincję. Ze Lwowa przeniosę cię do Wiednia, a z Wiednia, gdy wrócisz do Lwowa, to już jako dygnitarz,—upewniam cię. Mamy środki i stosunki: protekcja sama przyjdzie i kłaniać się nam będzie. Mój drogi, przecież ty jesteś świetną partią w kraju. Jedynak, dziedzic znacznego majątku, młody, przystojny, doktor praw. Możemy czekać i przypatrywać się. Namiestnik ma córki, minister—córki... Skorzysta się i z tego. No cóż?... Tutaj czas naprośno tracić na polowaniu lub w towarzystwie, które cię nieco kompromituje.

— Czem?

— Opozycją i górnolotnym patryotyzmem. Rębowski, to przecież uosobiona opozycja.

— Lecz nie przeciwko rządowi.

— Przeciw nam, a my jesteśmy tu rządem. Co zaś do przyjaźni twej z sekretarzem, ta staje się już podejrzana.

— Dlaczego? — Zdziwienie w młodym człowieku rosło.

— Dlatego, że jest emigrantem, że jest sekretarzem rady, której marszałkuje Rębowski, i narzeczcie dlatego, że zaniedbujesz domy i sąsiadów, którzy są i powinni być twym jedynym towarzystwem—ludzie o historycznych nazwiskach, panowie, mający wpływy w kraju i w rządzie.

— Zgadzam się, że to są wielcy panowie, a nawet, jeśli ojciec tak chce, i wielcy łaskami rządu, o wielkich fortunach ludzie, mogą być bardzo zabawni i mili; lecz ja w ich towarzystwie muszę ciężko pracować.

— To właśnie całe nieszczęście — pochwycił ojciec — że masz wstręt do wszelkiej pracy.

— Nie koniecznie — odparł spokojnie syn — lecz za pracę być wynagradzanym, choćby najdelikatniejszymi upokorzeniami — nie oplaci się.

— Jesteś z nimi, a przynajmniej z ich synami na ty.

— To im nie przeszkadza...

— Broń się i upokarzaj ich swoją dzielnością, rozumem, znajomością prawa.

— Są to rzeczy, z których oni żartują. Dzielność im niepotrzebna, rozum, który mają wystarcza, a co do prawa, plenipotenci ich są sławnymi prawnikami.

— Całe dzisiejsze młode pokolenie — zabrał głos ojciec — przy apatii i bezdusznosci, opanowawała dziwna drażliwość. Za mej młodości, dużo się znosiło od wielkich rodem, lecz za to umieliśmy się wybornie rewanżować w towarzystwach szlacheckich, w których znów byliśmy bożyszczami.

— Za małą satysfakcją — odparł chłodno syn, w stosunku do wysilenia.

— Chodzi ci o wysilenia. W towarzystwie sekretarza nie potrzebujesz się starać o przestrzeganie form, a w towarzystwie szlachecka i jego kobiet nie potrzebujesz wysilać się.

— Ależ, ojcze, sekretarz jest Europejczykiem w całym tego słowa znaczeniu, a u Rębowskich nieźle się bawie. Kobiety są bardzo sympatyczne.

Do pokoju weszła dama ciemno, wykwinie ubrana, zatrzymując się na progu.

— Może przeszkadzam?... Pewno polityczna dysputa.

— Nauka moralna, droga mamó, cały szereg nauk moralnych — powódź.

— Na powódź nauk moralnych nie zasługujesz.

— Ach powtórz to, matko, ojcę — zawołał, pochwycił dubeltówkę i kapelusz, pocałował ojca w ramię, matkę w czoło i wybiegł.

Małżonkowie zostali sami.

— I tak zawsze — rzekł mąż, starając się zapanować nad swym gniewem. — Wiele razy przychodzi między mną a synem do poważnej rozprawy, zawsze się zjawiasz, jak *deus ex machina* i paralizujesz moje usiłowania.

— Aby ci oszczędzić niepotrzebnej irytacji — odpowiedziała spokojnie żona, siadając w fotelu.

— Niepotrzebnej? chłopak jest na fatalnej drodze.

— Ależ to nie chłopak!

— Tem gorzej.

— Czy się co stało?

— Chciałaś gotowego nieszczęścia?

— Nie, lecz przecież powinno się coś dziać.

— Dzieje się to, że syn twój, swoim indyferentyzmem, idzie prostą drogą do obozu krzykaczy, postępców, awanturników. Unika towarzystwa ludzi naszej sfery, przesiaduje u Rębowskich, przyjaźni się z sekretarzem rady powiatowej.

— Mówią, że to człowiek, który dużo widział i dużo wie.

— Zapamiętały wróg naszego stronnictwa, pewno więc zakapturzony demagog. Młoda Rębowska ładna dziewczyna i Adaś nie wypiera się, że ją lubi.

— Naturalnie, że musi lubić Julkę, jeżeli tam jeździ, a z sekretarzem się nie nudzi. Chłopak odpoczywa po examinach i bawi się. Wszyscy młodzi ludzie naszego świata, zamłodu odgrywają rolę następców tronu, kokietując z Liberalnymi. Nie potrzeba jakim był radykałem hrabia Józef. Mówiono, że pisywał do dzienników lwowskich, trzymał u siebie ludzi podejrzanych, a co nie wygadywał! — sama słyszałam. Po ożenieniu się, wszystko nogą kopnął. Zrobił się z niego zagorzały rygorysta i religiant. Dziesięć wyliczyłabym ci podobnych przykładów.

— Ależ nie rób porównań Józia z naszym Adasiem — odparł z pewną dumą ojciec. — Adaś przerośł go o całą głowę, której Józio wcale nie ma.

— Tem lepiej dla naszego syna, bo tem prędzej wróci do równowagi na drogę wskazaną mu przez urodzenie, stanowisko, majątek i rozum.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Dziennik Zofii Komierowskiej,

spisany w Paryżu w r. 1853.

D. 8 Stycznia.

Od tygodnia jestem w Paryżu. Nie śmiem wierzyć, że to prawda, i kiedy się przebudzam, zapytuję siebie: czy to wszystko, co dotąd widziałam i słyszałam, nie było złudzeniem. Mieszkanie mamy już urządzone; tak mi w niem dobrze, jak w niebie.

Program naszego dnia jest następujący:

Wstajemy zwykle koło ósmej, zbieramy się w saloniku, w którym już na kominku rozpalony ogień; podają samowar, przywieziony z Warszawy, zaczynają dzwonić; pomału zapełnia się pokój znajomymi i przyjaciółmi męża; częstują ich herbatą, słucham, z całą powagą, z robótką w ręku, ich rozmowy; przyznaję jednak z pokorą, że nic nie rozumiem, bo to są wszystko bracia towarzyscy, mówiący innym językiem. Staram się przecież oswojać z nimi, bo mój najpocześniejszy mąż bardzoby się martwił, gdybym się w duchu z nimi nie łączyła.

D. 12 Stycz. Wczorajszy obiad przeszedł moje oczekiwanie. Wszystko było doskonale przyrządzone i elegancko podane, bo też nasz kucharz jest takim mistrzem w swojej sztuce, że mógłby w Tuilleries gotować. Codziennie mamy czterech panów na obiedzie. Widok tych ludzi spożywających potrawy polskiej kuchni, których już smaku nie pamiętali, sprawia mi taką przyjemność, że wyglądam go z największą niecierpliwością. Oni bie-

dacy mają tak mało, że bardzo często na apetycie poprzestać muszą; jakież to szczęście prawdziwie głodnego rodaka na obcej ziemi nakarmić.

D. 14 Stycz. Tak mi też tu dobrze, jak jestem szczęśliwą — nawet wypowiedzieć tego nie umiem; codziennie też gorąco Bogu dziękuję za to nowe życie, w które mnie wprowadził. Co wieczór smutek i żal mnie przejmują za upłynionym dniem tak, jakgdybym przeczuwała, że te chwile szczęścia wkrótce miną niepowrotnie. Dotąd najmniejszej chmurki na drodze mojej nie miałam, jedyna troska nasza wtedy, gdy nam wieczorna pocztą nie przywiezie oczekiwanych od ojca wiadomości.

D. 15 Stycz. Jeszcze w kraju, przed wyjazdem do Paryża, zapowiadał mi mąż, że mnie zapozna z innymi ludźmi, którzy żyją duchem i dla ducha, a na ich czele stoi wielki Adam.

Myśl ujrzenia tych niepospolitych ludzi, budziła taki niepokój w mojej biednej głowie, takim się czułam atomem wobec tych wielkości, że na każde o nich wspomnienie, serce mi biło gwałtownie.

Dziś od rana mąż mnie tak serdecznie prosił, że mu odmówić nie mogłam, i o godzinie 3-ciej pojechaliśmy do Mickiewiczów. Droga daleka, komunikacja utrudniona przez przelatujące nieustannie powozy; jechaliśmy może godzinę; ja byłam tak poważną i uroczystą, że słowa przemówić nie mogłam, a kiedy się już znalazłam w mieszkaniu wielkiego poety, w oczach mi się zaczęło i o mało nie upadłam ze wzruszenia, gdy mnie mąż przedstawiał pani domu. Jest to sobie najzwyczajniejsza istota z dość wybitnym wschodnim typem, trudnoby się domysleć nawet, że jest tak bliską wielkiego geniuszu.

Mąż mój oddalił się, aby powitać pana Adama; weszli już obaj do salonu i zbliżyli się do mnie. Porwałam się bezwiednie, stałam zmieszana, onieśmielona, nie miałam odwagi spojrzeć przed siebie. Mąż mój przemówił pierwszy: — „Chciej, bracie Adamie, częśćkę łask swoich i przyjaźni, jaką mnie nad wartość i zasługi darzysz, i na dziewczętkę moją przelać, bo to żywy typ ideału twego z *Pana Tadeusza*, i dla tego też od pierwszego wejrzenia sercem mojem zawładnęła.

Uczułam wzrok poety na sobie. Gorąco mi się zrobiło z obawy, aby do mnie nie przemówił i aby odpowiedź moja nie rozwiła owych ideałów. Na szczęście poeta ograniczył się na uściśnieniu mojej ręki i uwagach nad czysto-polskim typem, jakiego posiadam i nad ogólnym typem oblicz tego rodu, do którego należałam — typem, jakoby we mnie również widocznym. Pomału zaczęłam się oswojać z obecnością wielkiego człowieka i podniosłam spuszczone dotąd oczy, aby mu się przypatrzeć. Trudno opisać wrażenie, jakie ten niepospolity geniusz wywiera na zwyczajnych ludzi, a tembardziej na takie malutkie atomy jak ja. Odjeżdżając mąż mój, prosił go, aby o nas pamiętał, zachwalał mu naszą polską kuchnię, moją gościnność. Poeta uśmiechnął się uprzejmie i obiecał, że nie omieszką wkrótce z gościnności naszej skorzystać.

D. 17 Stycz. Poznałam kuzyna mego Michała Kleczkowskiego, który tu nosi tytuł hrabiego i odgrywa pewną rolę dyplomatyczną. Jest on naturalizowanym Francuzem, pełni obowiązki sekretarza przy poselstwie chińskim w Pekinie; obecnie bawi w Paryżu, ma przy sobie swojego sekretarza i lokaja, obu Chińczyków, którzy na siebie uwagę powszechną na ulicy zwracają. Nie widziałam go lat dwanaście, więc mi go poznać było niepodobna. Sprawił na mnie wrażenie człowieka dobrze wychowanego, eleganckiego, światowego, lecz serdecznego, szczerości brak najzupełniejszy. Stosunki nasze pozostaną chyba na zawsze sztywnymi i etykietalnymi.

D. 18 Stycz. Dziś nową poznałam osobistość, może najsympatyczniejszą ze wszystkich dotychczas tu widzianych. Jest to Ludwik M. Nie wiem jaka jego wartość moralna, bo mój wiek młody i brak znajomości ludzi nie pozwala mi mieć żadnego własnego o tem zdania, ale pod względem przyjemności towarzyskiej, trudno mu znaleźć równego. Ja-bym go słuchała całą noc, — tyle jest zapалу, siły, żywotności w tem wszystkim co opowiada; głos ma nawet tak przyjemny, że pomimo woli porywa nim słuchających. Zaprosiliśmy go

na obiad. Opowiadał nam wiele ciekawych rzeczy z czasu pobytu swego w Berlinie. Obecny temu Leonard Chodźko śpiesznie każde słowo chwytając i notował, aby opowiadanie uporządkować i następnie drukiem ogłosić.

D. 25 Stycznia. Idąc dziś do kościoła, spostrzegłam na rogach ulic tłumy ludzi czytające plakaty, przystanąłem aby się o powód rozpytać. Wielka nowina! Cesarz się żeni z hrabianką Théba Hiszpanką, i odwołuje się do „swego“ narodu, że jakkolwiek wybór jego nie padł na osobę z krwi panującej to nie wątpi przecie, że ją ukochają i uszanują jak matkę i opiekunkę swoją. Wiadomość ta wielkie na Francuzach wywarła wrażenie, ale przeważnie nieprzyjemne. Gdyby nie to, że cesarz zniósł wolność druku, byłoby co czytać w dzisiejszych gazetach. Za pięć dni zapowiedziana uroczystość weselna; cieszę się jak małe dziecko, że tyle ciekawych zobaczę rzeczy.

D. 30 Stycznia. Dziś tedy ów wielki dzień. Cały Paryż w poruszeniu; nie wszyscy jednak są jednakowo usposobieni; jest nawet więcej takich, którzy nie pochwalają wyboru cesarza, bo narzeczona jego to znana lwica z Pól Elizejskich, a oni na swoją opiekunkę i matkę pragnęliby ucziwiej i zacnej kobiety, któraby dobroczynnym wpływem swym zmieniła smutny kierunek upadającej moralności francuskiej. Podobna mi się bardzo w nich ta stanowczość; oni przekonani nie zmieniają tak łatwo, jak my.

Michał przyniósł nam bilety do kościoła Notre Dame, bałam się jednak tłoku i wolałam na otwartym powietrzu przypatrywać się orszakowi. Od kościoła do pałacu w Tuilleries na południowej przestrzeni był wyciągnięty szpaler z gwardyi narodowej, przystanąłem między dwoma, mniejszego wzrostu i wsparłszy się na ich tornistrach doskonale cały pochód widziałam. Trudno dać wyobrażenie o tym całym zbytku i przepychu. Karetę ze wszystkich stron oszkloną ze szczerolotami bokami i kołami poprzedzał nieskończony orszak wojskowych i wysokich dygnitarzy, a otaczał ją pułk przyboczny „Cent-Gardów“ w blado-niebieskich mundurach ze złotymi galonami. Oboje cesarstwo ubrani byli w płaszcze szkarłatne aksamitne, gronostajami podbite, — on z gołą głową, ona z dyademem brylantowym, uśmiechnięta i kłaniająca się z nieopisanym wdziękiem ciekawej i krzyczącej publiczności. Przyjechawszy do pałacu, ukazał się oboje na balkonie a zebrane tłumy witały ich przeciągniętymi okrzykami. Wieczorem zabłysła wspaniała iluminacja. Kiedy na wpół żywa położyłam się do łóżka, usypiając, marzyłam, że to widzenie z tysiąca i jednej nocy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA LWOWSKIE.

Dnia 24 Grudnia 1888 r

Po letniej znowie piekarczyków, która jaknajsmutniej dla nich się skończyła, a groziła podrożeniem chleba, tego głównego artykułu pożywienia nędzarzy przeważnie, obecnie wyprawiają z siebie nowe widowisko nasi poczciwi szewcy czeladnicy, niby to z powodu otwarcia we Lwowie i Krakowie magazynów świeżo założonej fabryki maszynowego obuwia w Mödling pod Wiedniem. Właścicielem tej wielkiej fabryki jest niejaki Fränkel, starozakonny. Obuwie przez niego wyrabiane jest naprawdę bajecznie tanie, bo o połowę tańszem od tutejszego, chociaż zato w najgorszych gatunkach, sprzedawanych w jednej trzeciej części cen tutejszych — jest zupełnie lichem i w rzeczywistości nie wartem nawet i tych małych pieniędzy. Przed Fränklem wszakże już istniało kilka innych podobnych sklepów, ale było zupełnie cicho — obu naszych wielkich miastach; dopiero założenie magazynów frenklowskich narobiło wszawy; rzecz prosta, na komendę tych, którzy patrząc na Belgię, przypominają sobie, że wszystkie drogi prowadzą do Rzymu. Chodziło tu zapewne o ustawienie piedestału, chociażby z piernika, czy tam smoły szew-

ckiej, dla jakiegoś trybunika dwustółkowego, aspirującego do jakiejś godności poselskiej lub autonomicznej... Sądziłibyśmy, że szkoda na to paręset pocziwych biedaków wystawiać na nędzę i prześladowanie; bo tylu też mamy obecnie we Lwowie z czeladzi szewckiej szomującej vulgo bez pracy próżnującej. Precedensu piekarczyków z lat roku bieżącego nie poprawił wcale pogrom krakowski frenklowskiego magazynu; prócz jałmużny magistrackiej, tu ani słyhu o jakiej flocie ratunkowej z zagranicy dla szewców. — Publiczność nasza, niestety, zamiast wystąpić stanowczo i powstrzymać te zapędy na jej własną kieszeń — milczy, jak zakłeta, lub co gorsza, pocichu potakuje ruchowi, niepomna, że celem jego jest podbite cen kosztem najuboższych i najbardziej pognębionych. „Szomującym“ czeladnikom zrobił Fränkel propozycją przyjęcia ich około 100 do swej fabryki w Mödling, ale czeladnicy zażądali — gwarancji! — Otoż mamy i tu wzór fatalnej u nas „gwarancji“, która bodaj czy nie na samo wyjdzie szewcom lwowskim obecnie, jak przed stu laty narodowi całemu... Zamało jest bujać po obłokach nirwany buddajskiej z lampami aladynowymi i rzucać samobójcze brednie bez zastanowienia; ale trzeba śmiało zajrzeć w oczy zagadce walki dobrego ze złem i pracą krwawą w miłości braterskiej budować gmach przyszłości od fundamentów...

Daleko bliższymi celu są tacy u nas cisi pracownicy, którzy szczepiają miłość społeczną pod postać miłosierdzia publicznego, niż nawoływacze do nowomodnej walki o byt, która tak szkodliwie zastąpiła w pojęciu mas obowiązkową dla ludzkości walkę dobrego ze złem. Lwów może się szczycić tem, że należy do litościwych miast w kraju: a nie tylko rdzenna ludność nasza przyczynia się do osłodzenia doli spółobywateli, również i napływowa, niemiecka, jej nie ustępuje. Świeże tego złożył dowody p. R. Doms, zakładając pod swem imieniem wspaniałą fundacyą oobroczną dla mieszańców m. Lwowa, z tem rozsądnem i szlachetnem zastrzeżeniem, że ma ona służyć nie dla samych tylko biedaków z pospólstwa, ale i dla podupadłej finansowo inteligencji; oprócz tego warunku nałożył p. Doms jeszcze inny, bardzo mądry, mianowicie rozporządził, aby każdy z prebendaryuszów przytułku był nieposzlakowanej przeszłości człowiekiem. Weszło tu już w zwyczaj urządzanie dobroczynnych przytułków dla ubogich, bez wyboru, bez względu na ich przeszłość, ale jest to właśnie grzech pierworodny wszystkich takich zakładów. Wskutek lekceważenia strychni moralnego przez założycieli przytułków dla ubogich zamieniają się one w siedliska hańby i upokorzenia, podczas kiedy powinny być widomemi wcieleniami szlachetnego społeczeństwa jedynie tylko dla niezashużonej niedoli ludzkiej.

W tym samym czasie, z powodu 40-letniego jubileuszu objęcia rządów przez cesarza Franciszka Józefa (d. 2-go Grudnia 1848-go r.) Galicya 400 blisko fundacyami publicznej użyteczności dała świetny dowód swego miłosierdzia dla jednych, a wdzięczności znowu dla innych.

Od tych, mniej na czystym uczuciu, a więcej na interesie politycznym opartych obja wów, zwracamy się do takiego, który, według nas, więcej posłuży do zbliżenia ubogich z zamożnymi, uczonych z prostaczkami, szczęśliwych z cierpiącymi, niż wszelkie znowy i wichrzenia, pobudzające chciwość i próżniactwo w naszęj biednej ułomnej naturze ludzkiej do jeszcze większego rozwielenienia się, a temsamem i ucisku coraz sroźszego biedy i nędzy, pozbawionej środków zarobkowania; gdyż wszelkie znowy na kieszeń „nieużytych“ bogaczy, na tychto ubożuchnych właśnie całym ciężarem spadają. Do dziedziny takich obja wów czystego miłosierdzia niezaprzeczenie zaliczyć wypada dopiero założone tu Towarzystwo Ś. Salomei, w celu specjalnej opieki nad wdowami i sierotami. Założycielem tego towarzystwa jest światły i cnotliwy ksiądz Jan Siemiński, kapłan z czystego powołania, pełniący swe obowiązki, całkiem bezinteresownie. W związku z Tow. Ś. Salomei ma powstać inne, mające opiekę nad chorymi po mieszkaniach własnych, nad terminami rzemieślniczymi i t. p. zaniedbywanymi dotąd żywiołami, cierpiącymi lub zapomnianymi,

z powodu ich małości. — Wspominamy o tych towarzystwach, nie tylko ze względu na chwalebny przykład miłosierdzia tutejszego, lecz nadto by zwrócić uwagę dobroczynnych osób na potrzeby specjalizowania zasad działalności filantropijnej. Najwyżej stojące pod względem dobroczynności publicznej kraje, jak Anglia i Francya pęsunęły u siebie to specjalizowanie np. tak dalece, że istnieją tam tego rodzaju towarzystwa, jak sprawiania franek dla ubogich i t. p. W naszym surowym i niezdrowym klimacie, przy najniepomyślniejszych warunkach zewnętrznych, myśl podjęta obecnie we Lwowie powinna szerokiego rozgłosu nabrać po całym kraju i zachęcić wyznawców dobroczynności do jej naśladowania.

Od dobroczynności publicznej do miłości społecznej i narodowej krok jeden, a tuż przy niej stoi i cześć dla dobrze zasłużonych, oraz ich wywyższenie, zapomocą którego ludzkość dości ga ideału szlachetności i wydoskonalenia najwyższego. Kobiety nasze po śmierci Maryi Bartułówny, tej sukcesorki liry Zimorowicza, postanowiły były uczcić pamięć poetki przez godny jej pomnik. Inicyatywę do tego dała panna A. Machczyńska, a wykonał plan komitet dam, zbierając składki po całym kraju. Fundusze bardzo skąpo płynęły, ale za to panie komitetowe zdwoiły swą gorliwość, i temu to niezaprzeczenie zawdzięczyć wypada okoliczność, iż ostatecznie pomnik dla poetki lwowskiej mógł stanąć w tutejszym kościele Dominikańskim. Prassa tutejsza, nie dobrze świadoma rzeczy, podaje prof. Zacharyewicza jako twórcę artystycznego pomnika, ale tak nie jest; model bowiem do medalionu i napis wierszem pochodzą od czcigodnego lirnika mazowieckiego, który w cichości, a naturalnie i całkiem bezinteresownie — jak i prof. Zacharyewicz, oraz p. Markoni — wykonał to wszystko we Florencyi, pozostawiając tylko podrzędną architektoniczną i ornamentacyjną część pomienionym artystom. Sprawozdawca w urzędowej gazecie tutejszej gani umieszczenie zbyt wysoko malutkiego, około 1 metra mającego, pomnika na ścianie kaplicy; my jesteśmy wszakże zdania przeciwnego, i znajdujemy zupełnie uzasadnionym pomysł architektoniczny prof. Zacharyewicza, jako sprawiający niepospolity efekt estetyczny. Pomnik jest doskonale oświetlony światłem kopuły. Białe medalion poetki w ramach z siwego marmuru bardzo wdzięcznie odbija od ciemnych ścian, a napis pełen rzewności poetycznej, o ludowym nastroju, jest, jakby umyślnie stworzony do spopularyzowania szlachetnej postaci poetki wśród mas. Napis ten tak brzmi:

„Chateńkę, jakiej nie miała siostra,
Wzdychając za nią aż po życia kres,
Stawiają dłonie czułych sióstr i braci;
Księgi jej pieśni nie na wagę złota
Cięża — lecz na wagę łez.
Za takie księgi Pan Bóg tylko płaci.

Wyglądałby on jeszcze lepiej i nie grzeszyłby brakiem zaokrąglenia, gdyby dodano i jego zakończenie.

Powiadano nam, że to przepołowienie napisu miało wypłynąć ztąd, iż miejsca zbrakło na tak długi; sądzymy wszakże, że tu głównie wpłynęła świecka forma tego zakończenia, ale nie brak miejsca na tablicy, która nie by nie szkodliwa symetrii, gdyby była i o parę cali przedłużoną. — Pomimo tych małych usterek, wszyscy są zadowoleni i wdzięczni komitetowi dam, że się tak zacnie wywiązał z zadania, uwieczniając pamięć jednej z największych swych sióstr po talencie i po cnotcie. Dobrze byłoby, gdyby obecnie podjęto się wydanie zbiorowego liryk Bartosówny. Ś. Smiles w swych studyach nad „Charakterem“ powiada: „Wyrobienie poczucia piękne formy lub barw, dźwięku lub postaci, niekoniecznie wpływa na rozwój umysłu lub charakteru“ — a niżej dodaje:

Bo duch, umysł i serce, lecz nie smak i sztuka czynią ludzi *wielkimi* — i jeszcze dalej: „Sztuka pospolicie najbardziej kwitnęła w czasach upadku, kiedy ją narody za złoto służebnicą czyniły.“ Zgoda na to zupełna, z tem wszakże, iż jest i na to lekarstwo: oto sztuka nie złoto powinna mieć na celu, lecz jakieś zadanie szlachetniejsze, idealniejsze, a poważne. Wystarczy tutaj, dajmy sobie, gdy sztuka np. wdziewa na siebie szatę narodowości, a wtedy nabiera ona przymiotów właśnie tych, których jej Smiles odmawia. — Coraz podnoszący się poziom moralności w naszym, galicyjskiem, społeczeństwie, dał nam możliwość poznania tej prawdy i siebie i otrząśnięcia ze swej sztuki tej szkodliwej kosmopolitycznej naleciałości, co to chyba ją w cudze pawie piórka stroiła, ale jej samej rdzennego przymiotu oryginalności odbierała cechę. — Podczas, gdy literatura nadobna już dawno a świeżo malarstwo i snycerstwo weszły u nas stanowczo na pole czysto narodowe, muzyka i scena nasza, choć mają własne wzory światowej sławy, za nie dotąd nie mogą się odważyć pójść w tesame, co i one, ślady. Swojskie piętno oryginalne to wcale nie „szowinizm“, ale najprostsza potrzeba serca, każdej szlachetniejszej duszy i delikatniejszego uczucia. Łatwo się o tem przekonać, gdy się opuści kraj rodzinny, i po paroletniej w nim niebytności wróci do niego. Wtedy namacalność tej prawdy, żywo się do oczu tłoczy i przejmuje urokiem niewysłowionym całą naszą istotę.

Dawno już scena nasza domagała się, aby nie tylko dramat, ale i opera zostały swojskimi siłami obsadzone, mając w polskich śpiewakach i śpiewaczkach zagranicznych niezbitą dowód, że one temu zadaniu zupełnie podoleją. — Obecna dyrektora lwowskiego teatru przystąpiła do wykonania tego powszechnego życzenia publiczności. Zaniechano sprowadzania cudzoziemców, nawet tak znakomitych, jak Włosi, i wzięto się do obsadzenia opery wyłącznie polskimi śpiewakami i śpiewaczkami. — Najznakomitszym nabytkiem niezaprzeczenia jest panna Mira Helerówna, ngodzona już na cały sezon; przybywa ona do tak już wypróbowanych sił, jak pp. Skalska i Kasprończowa. Prócz tych, na stałe pozyskanych, do niemałej ozdoby i przywabienia nowością publiczności, posługują zapowiedziane debiutantki, obdarzone istotnie niepospolitemi głosami, jak panny: Patkiewiczówna, Frąklówna i Pawlikówna, córka słynnego kanonika Ś. Jura. Po za temi jawnymi siłami stoi w ukryciu silna rezerwa z paru pierwszorzędnych głosów, które w swoim czasie będą mogły zapomnieć scenę przez ożywienie jej nowością. — Wyznajmy to bez obłudy: nasza publiczność nie posiada zbyt wielkiego popędu do artysty; owóż nowinkami tylko można ją nakłonić do rozmiłowania się w nim i zajęcia naprawdę miejsca w szeregu ucywilizowanych narodów.

Czy z bilansu czynów z ubiegłego 1888-go r. w Galicyi można postawić horoskopy pomyślne, dla naszych usiłowań wkroczenia na drogę ucziwej i rzetelnej cywilizacji? Sądźmy, że tak. — Rok ubiegły wyróżnia się w dziejach naszej prowincyi jakimś niezwykłym podniesieniem na duchu i przycichnięciem niezdrowej, sztucznej waśni społecznej, którą nieprzyjazne wpływy ciągle u nas podtrzymują.

Z kilku niepomyślnych prób na tem polu, zakończonych zupełnem niepowodzeniem, można przyjść do tego przekonania, że już jesteśmy niedalecy od zupełnego zbratania się klas i wyznań błędnie branych za jakieś historycznie i etnograficznie odrębne całości. Polepszenie się to widoczne jest i w moralności publicznej owiele dzisiaj mniej pobłażliwy na zdrożności i wykroczenia, nie już publiczne, ale nawet pokątne. Tosamo da

się powiedzieć i o stanowisku kobiety w naszym społeczeństwie, które dzięki nauczycielstwu po szkołach publicznych i po urzędach znakomicie się polepszyło, nie tylko materyalnie, lecz i moralnie. Godność kobiety niezmiernie się podnosi na widok np. takiej gorliwej i cnotliwej krzewicielki oświaty wśród ludu wiejskiego lub urzędniczki, uczciwie i grzecznie traktującej interesowanych. Po wymarcu w ostatnich latach pierwszorzędnych znakomitości naszych narodowych, człowiek głębiej wpatrujący się w dzieja naszej prowincyi przychodzi do tego przekonania, że, jeśliśmy nie upadli, owszem, poszli dalej drogą postępu w duchu swojskim — to wszystko zawdzięczamy, nie tylko energii mężczyzny, ale i cnotcie naszej kobiety, wysoko trzymającej sztandar ideałów.

Erywal.

Kronika działalności kobiecej.

— Jedna ze szlachetnych pań naszych ofiarowała 100.000 rs. na dalsze prowadzenie budowy kościoła na Pradze.

— Między przedmiotami sztuki, zakupionemi przez *Towarzystwo Sztuk Pięknych* dla rozlosowania dorocznego pomiędzy członków *Towarzystwa*, znajdują się dzieła pp. Bobińskiej, Ol. Cygalla, Dulembianki, Poświkowej, Stankiewiczówny i Wodzińskiej. P. Poświkowa wydaje w Berlinie kolorowe album kwiatów i owoców naszych.

— Komitet Muzeum Przemysłu przyznał na ostatniej wystawie swojej pięć nagród okazom pracy kobiecej. Medal srebrny za malowanie na szkle otrzymał zakład Ś-go Łukasza, prowadzony przez hr. Maryą Łubińską. Listy pochwalne udzielono pp. Adeli i Karolinie Bardet za stylowe malowanie na porcelanie, Paulinie Jarcinśkiej za rzeźbienie na drzewie, szkole rzemiosł p. Aleksandry Korycińskiej za ogół okazów.

— Szkół rzemieślniczych dla kobiet liczy Warszawa ośm, pp. Heleny Gabryelowej (Koronkarstwa) Florentyny Dyman, A. Korycińskiej, Emilii Lewenbergowej, Bronisławy Maleszewskiej, hr. Cecylii Zyberg Plater, Wiktorii Rossawieckiej, Natalii Smólskiej. Opłata pobierana tu jest od rs. 5 — 10 miesięcznie. Oprócz tego 24 osób posiada pozwolenie na zakładanie szkół takich.

— Zmarły w Krakowie śp. Walery Rzewuski, wyznaczył w testamencie swoim fundusz na założenie w tymże mieście szkoły fotografowania dla kobiet, lub też, w razie gdyby ta myśl nie przedstawiała się praktycznie dobrą, — szkoły rzemiosł na wzór takiejsze szkoły warszawskiej hr. Cecylii Zyberg Plater.

— Z funduszu przeznaczonego przez sejm galicyjski dla młodzieży kształcącej się w naukach i sztukach, wydział krajowy udzielił Michalinie Niwińskiej, śpiewaczce 200 zł. reń., Felicyi Romanowskiej, także śpiewaczce, kształcącej się w Wiedniu 200 zł. reń., Maryi Młodnickiej, bardzo jeszcze młodej, przecięz wielkie już zdolności okazującej rysownicze, 150 zł. reńskich.

— Statut stowarzyszenia pomocy naukowej dla kobiet imienia Kraszewskiego został potwierdzony przez Namiestnictwo we Lwowie. Siedliskiem stowarzyszenia jest Kraków.

— Panie lwowskie zawiązały „Towarzystwo Ś-tej Salomei“ którego celem jest opieka i wspieranie ubogich wdów, zwłaszcza obarczonych dzie-

ćmi. Towarzystwo pragnie przychodzić z pomocą radom gminnym w celach wyżej podanych, opiekując się osobami prawdziwie zasługującymi na to, a które będą im wskazane przez zarządy gminne. W każdej dzielnicy miasta istnieć będzie sekcya towarzystwa. Orzewodniczące Towarzystwu są: hr. Henrykowa Skarbkowa i prezydentowa Mochacka.

— W Gdańsku doletnia już panna, Stefania Koch założyła dom dla ubogich a sędziwych pannen, które po skończeniu lat sześćdziesięciu pracować już nie mogą. Na majątek zakładu złożyła ona milion marek; między warunkami fundacyi jest wyrażonem, że przystęp jest tu zarówno otwarty dla kobiet wszystkich narodowości i wyznań chrześcijańskich. Fundatorka jest przez matkę Polką, zapewne więc i katoliczką.

— P. Karolina Szulc, Warszawianka, licząca lat 21 broniła rozprawy na stopień doktora medycyny tak świetnie, że uzyskała stopień ten z medalem. Do oponentów, przeciw którym broniła tezy: „Kobieta lekarz w w. XIX“, należały francuskie powagi naukowe: Charcot, Reclus, Strauss i Landouzy. Charcot oddając hołd zdolnościom i wiedzy młodej pretendenci do biretu doktorskiego dowodził niemniej, że kobieta tylko w jednostkach wyjątkowych może być rzeczywiście dobrym lekarzem, że tam nawet gdzie jej wiedza, jej inteligencya, dobra wola i odpowiadające temu siły złożą się, aby tak było, jeszcze znajdują się strony zawodu, które nie pozwolą kobiecie spełnić zadania swego tak dobrze, jak by to mógł uczynić mężczyzna. Prof. Landouzy łagodniej i przychylniej dla kobiety zapatrywał się na to nowe jej powołanie. Przyznawał oponentce słusność w tem, że uczuciowość kobiety jest jej często pomocą w niesieniu choremu ulgi przez pociechę i tkliwość w traktowaniu jego cierpień. Wyraził przeto życzenie, aby mógł być powiadomionym co do specjalnych gałęzi lecznictwa, którym dotąd głównie się oddawały kobiety.

Charcot kładł na to nacisk, że ponieważ natura kładzie przed kobietą zaporę w kierunku działalności lekarskiej, zatem poświęcać się na to mogą tylko kobiety wyjątkowe, a te, jako takie, są zwykle ambitne i nie chcą przyjmować na swój dział tego właśnie, co powinno stanowić specjalność kobiety lekarza: naprzykład opatrywanie ran, wymagające natężonej uwagi, drobniagowych starań i zręcznej, lekkiej ręki — co wszystko posiada szczególnie kobiecie.

OD WYDAWCY.

Nowi prenumeratowie otrzymać mogą bezpłatnie na *żądanie* początek dołączanej powieści pod tytułem:

STARGANE ŻYCIE

POWIEŚĆ

przez Flor. Marryat

przekład z angielskiego

która rozpoczęta została w Nr 50 „*Bluszczu*“ roku zeszłego.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: *Stargane życie*, przez Florentynę Marryat.

TREŚĆ. Tadeusz Korzon, przez St. Krzemińskiego. — Głos wołającego na puszczy, poezya przez El...ye'go. — Pogawędka. — Serce i głowa, przez Maryą Illicką. — Słowa a czyny, powieść przez Sewera. — Dziennik Zofii Komierowskiej. — Echa lwowskie. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty i 6-ty powieści pod tytułem: *Stargane życie*, przez Florentynę Marryat. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyą stołu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 22 Декабря 1888 года.